

Wspomnienie o ekonomście - Januszu G. Zielińskim.

PIERWSZY PO WAKARZE.

Zanim spotkałem Janusza Zielińskiego poznałem jego główną z krajowego okresu działalności książkę; „Zagadnienia Rachunku Ekonomicznego w Socjalizmie”. Było to w końcówce lat 60 – tych, albo na początku lat 70 –tych, dokładnie nie pamiętam. Ale nazwisko Zielińskiego nie było mi obce i wcześniej. Jako magistrant, a potem asystent profesora Włodzimierza Brusa uczestniczyłem w seminariach o teorii funkcjonowania gospodarki socjalistycznej. Na tych seminariach omawiane były między innymi prace profesora Aleksego Wakara i jego uczniów, do których zaliczał się Zieliński, a mawiano, że był najzdolniejszym uczniem, „pierwszym po Wakarze”. Istniało wtedy nawet pojęcie „szkoły wakarowskiej” w ekonomii polskiej. Pozostawała ona przez pewien czas w ostrej walce z nurtem, który wychodząc od marksizmu odegrał dużą rolę w „dyskusji modelowej”. Był on związany z osobą Brusa oraz z jego wydaną w roku 1961 i głośną wówczas książką „Ogólne problemy funkcjonowania gospodarki socjalistycznej”. Wakarowcy podjęli znane jeszcze z lat 30 – tych pytanie, czy w socjalizmie możliwy był rachunek ekonomiczny. Odpowiedzieli twierdząco, mniejsza w teraz o to czy trafnie, i rozróżnili dwa jego rodzaje; rachunek bezpośredni i pośredni. Przez pewien czas twierdzili, że rachunek możliwy jest tylko w skojarzeniu szczegółowego centralnego bilansowania z nakazowymi instrumentami przekazywania zadań gospodarczych z Centrum w dół. Czyli, że postulowana przez „brusowczyków” decentralizacja zarządzania i dopuszczenie rynku jest sprzeczne z warunkami rachunku ekonomicznego w socjalizmie. To wywołało kontrowersję, ostrą, z polityczną podszeawką, bo zwolennicy Brusa domagający pewnego „urynkowienia” widzieli w teoriach Wakara podbudowę dla konserwatystów w PZPR. Potem wakarowcy złagodzili stanowisko i konflikt ucichł.

W roku 1978, niedługo po tym, jak podpisałem się pod deklaracją założycielską Towarzystwa Kursów Naukowych ruszyłem pierwszy raz w wielką podróż na Zachód. Jechałem małym fiatem, który nieco wcześniej kupiliśmy z żoną, a i kierowcą byłem świeżym. Trasa wiodła przez Czechosłowację, Wiedeń, Monachium do Paryża. Jechałem na zaproszenie Aleksandra Smolara, mojego kolegi i rywala ze studiów ekonomicznych na UW, ale miałem też zaproszenia do Stanisława Gomółki w Londynie, do Brusa w Oxfordzie i do państwa Marty i Janusza Zielińskich w Glasgow. Nie pamiętam, jak do zaproszenia doszło, myślę, że inicjatywa wyszła od Zielińskich i niezwykle mnie ucieszyła. Miałem już niezły dorobek mierzony publikacjami choćby w kwartalniku „Ekonomista”, wtedy najbardziej prestiżowym krajowym periodyku z naszej branży. A tu jeszcze doszło nowe studium, próba stworzenia aparatu pojęciowego do badania rzeczywistych procesów w gospodarce realnego socjalizmu. Trzon zainteresowań ówczesnej ekonomii skupiał się nie na tym, jak działała praktycznie gospodarka ustroju, lecz raczej jak działać powinna wedle ideologii, czy wyobrażeń. Dwa odcinki studium, jeszcze za nim się poznaliśmy, dotarły do Zielińskiego i obydwu, w jego przekładzie i redakcji, ukazały się w tym razem już w międzynarodowo prestiżowym periodyku „Soviet Studies”, do którego redakcji Janusz należał. Teraz wiozłem odcinek trzeci, najważniejszy i najdrażliwszy, o kierownictwa politycznego w gospodarce. Na polsko – czechosłowackim przejściu prawie rozebrali mi samochód i tekst leżący swobodnie koło tylnej szyby zwinęli. Byłem już wtedy mocno notowany przez SB i figurowałem na listach tych, których pogranicznicy mieli dobrze obmacać. Ale inna kopia poszła „pocztą drugoobiegową” i dotarła do Glasgow przede mną.

Przejechałem pół Europy, przepłynąłem La Manche i chyba z Victoria Station, ale autobusem ruszyłem na północ. Z tej podróży, nocnej, zapamiętałem „Seven Up”, którą się raczyłem po raz pierwszy i bardzo mi smakowała. Kończył się październik, w Glasgow było chłodno, mgliście, ale po jesiennemu kolorowo. Z pewnym trudem,

wskutek mego słabego angielskiego, taksówkarz dowiózł mnie pod dom państwa Zielińskich. Chyba jeszcze spali i nikt nie otwierał. Strach mnie obleciał, że jeśli coś pomyliłem to będę się miał z pyszna. Ale drzwi się otwały i ku mej radości usłyszałem ojczysty język. Otworzyła mi chyba Marta, żona Janusza, młoda wtedy kobieta o miłej twarzy. Zielińskiego, chudego bruneta, średniego wzrostu, tak go dziś kojarzę, wyobrażałem sobie inaczej, ale jak, nie pamiętam. Pozostało w pamięci to rozminięcie się obrazów; oczekiwanego z faktycznym. Był ani gorszy, ani lepszy. Po prostu inny. Janusz w pewnym sensie „wracał do życia” po długim czasie walki z dolegliwością przewodu pokarmowego, która kosztowała go operacje i odbiła się pewno na jego aktywności intelektualnej. Ale wtedy był energią i pewnością siebie. Gościli mnie dość długo, oprowadzając po Uniwersytecie, obwożąc po okolicy, urodziwej i ubranej w barwy polskiej jesieni. Sporo też pracowaliśmy – Janusz tłumaczył na angielski i redagował mój tekst, który ukazał się potem w wydawanym w Wiedniu „Roczniku Ekonomii Wschodnioeuropejskiej”. Zielińskiemu zawdzięczam debiut międzynarodowy i to niezły, niestety bez kontynuacji, ale to już z mojego wyboru.

Wtedy też przedstawił swój pomysł, który był bardzo ciekawy i odpowiadał mi intelektualnie. Szło o to, żeby zebrać w Warszawie grupę młodych naukowców – ekonomistów i poprzez dyskusje na prywatnych seminariach przygotować koncepcję, a potem napisać pod Janusza kierownictwem rodzaj nowoczesnego podręcznika ekonomii socjalizmu. Miał on w odróżnieniu od nurtu dominującego nie zajmować się egzegezą ideologii, nie mówić o tym, jak ma funkcjonować taka gospodarka, żeby to było zgodne z Marksem i Leninem, lecz tym, jak gospodarka funkcjonuje realnie, jakie są w niej rzeczywiste mechanizmy. Zamiarem Janusza było zdobycie jakichś pieniędzy na ten cel, a po jego zrealizowaniu wydanie książki na Zachodzie. Pomysł był więc dla mnie także pewną nadzieją materialną. Jak tylko bowiem wróciłem do kraju, zimą 1978 roku, „bezpieka”, dała polecenie dyrektorowi ORGBUD (Instytut Organizacji i Ekonomiki

Przemysłu Budowlanego), żeby mnie wyrzucił z pracy i „dobry towarzysz” dyrektor oczywiście mnie wyrzucił. Następną pracę zdobyłem dopiero w kwietniu 1981 roku w „Tygodniku Solidarność”. Propozycja Janusza była jak znalazł, bo dzieci mieliśmy troje i pensja żony nie starczała. Oczywiście zgodziłem się od ręki i wróciwszy do Warszawy dopomogłem w stworzeniu zespołu, ale jego składu nie pamiętam. Poza Adamem Lipowskim, dziś profesorem, wówczas chyba adiunktem w Instytucie Planowania. W jakiś czas potem, ale przed powstaniem „Solidarności”, Marta i Janusz Zieliński przyjechali do Polski, na dłuższy pobyt. Janusz był o ile pamiętam pierwszy raz w kraju po tym, jak wiele lat wcześniej zdecydował zostać na Zachodzie. Pobyt obfitował w liczne spotkania, także wcześniejszych kolegów i współpracowników Zielińskiego, który, jako osoba, co „wybrała wolność” zapewne od razu dostał opiekunów z bezpieki. Był na widoku i widelcu.

Pracę pod kierunkiem Janusza zaczął także nasz zespół. Odbyło się kilka spotkań w mieszkaniu, w którym zatrzymali się Marta i Janusz Zieliński. Był to rodzaj burzy mózgow, z Januszem jako moderatorem. Zaczęliśmy od próby opracowania makiety podręcznika, czyli od szatkowania realiów gospodarczych w socjalizmie na wielkie, a potem coraz mniejsze kawałki, tworząc w ten sposób zarysy działów (może i tomów), rozdziałów, paragrafów przyszłego dzieła. Było to pasjonujące intelektualnie tym bardziej, że Janusz z wnikliwością i dużym talentem, „akuszerskim”, powiem nawet sokratycznym, wydobywał z nas i z siebie ujęcia i hipotezy, z których nie zdawaliśmy sobie sprawy i byliśmy zaskoczeni, że wyskakuje coś bardzo ciekawego. Po stworzeniu makiety mieliśmy podzielić między siebie robotę, może poszerzyć zespół i zacząć pisanie. Niestety, długo to nie trwało, debaty intelektualne przerwała Służba Bezpieczeństwa nakazując małżeństwu Zielińskim przedterminowe i pilne opuszczenie kraju. Jeszcze miałem nadzieję, że mimo tego bezpieczeniackiego uderzenia projekt będzie kontynuowany, że przyjdzie z Glasgow wiadomość od Janusza, co robimy dalej,

którą mi obiecał pakując w pośpiechu bagaże do samochodu. Niestety, jak grom z jasnego nieba przyszła wiadomość o jego samobójczej śmierci. Urwała się więc także naukowa droga oryginalnego ekonomisty, który znalazł swoje miejsce w małym fragmencie historii polskiej myśli ekonomicznej, a na pewno miał o wiele więcej do powiedzenia.

Warszawa 18 – 19 maj 2004 rok.

Waldemar Kuczyński.